

Półwysep Kenai Alaska w miniaturze

JEZIORO KENAI JEST NAJGŁĘBSZYM ZBIORNIKIEM WODNYM NA PÓŁWYSPIE KENAI, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK

Wiele osób pytało mnie: dlaczego Alaska? Przecież tam jest wiecznie zimno, lato jest jeszcze krótsze niż w Polsce, a w głębi lądu spotkać można głównie niedźwiedzie polarne lub Eskimosów. Z uporem godnym maniaka odpowiadałem zawsze tak samo: ja po prostu zakochałem się w Alasce i choć większość osób marzy o podróżach do gorących tropików, dla mnie najpiękniejszą częścią Ziemi jest jej strefa okołobiegunowa, w tym Syberia, północna Kanada i oczywiście Alaska. Wychowałem się na powieściach Jacka Londona, Jamesa F. Coopera i Wiesława Wernica, których fabuła była osadzona właśnie w realiach Dalekiej Północy. Tak więc, gdy nadarzyła się ku temu okazja, postanowiłem zobaczyć na własne oczy jeden z ostatnich zakątków świata, gdzie dzika przyroda wciąż rządzi się własnymi prawami, a człowiek jest tylko jednym z jej mniej znaczących elementów.

Wyprawa na Alaskę była moją pierwszą podróżą w tak dalekie rejony świata. Pierwszym celem było Anchorage – największe miasto Alaski oraz jej nieformalna stolica licząca ok. 300 tys. mieszkańców. Oficjalną stolicą Alaski jest niewielkie, liczące ok.

30 tys. mieszkańców miasto Juneau, położone w południowo-wschodniej części tego stanu, jednak większość urzędów, siedzib dużych firm oraz Uniwersytet Stanowy mieszczą się właśnie w Anchorage, które jest administracyjnym centrum południowej Alaski. Od Krakowa dzieli je dystans 8000 km w linii prostej, natomiast lecąc przez Frankfurt oraz Chicago musiałem pokonać trasę prawie 12 tys. km. Samolotem niby niewiele, a jednak spędziłem w podróży 28 godzin. Po wylądowaniu w Anchorage udałem się samochodem na południe, w kierunku Półwyspu Kenai, gdzie miał się rozpocząć mój trzymiesięczny staż na Alasce.

Rafting na rzece Kenai

Już w pierwszym tygodniu pobytu w Kenai trafiła się okazja wzięcia udziału w raftingu po największej i najpiękniejszej rzece półwyspu. Spływ, co prawda, omal nie skończył się kąpielą w lodowatej kipieli, ale dzięki temu było to niesamowite, podnoszące ciśnienie w żyłach przeżycie. Jako początek spływu wybraliśmy okolicę niewielkiego miasteczka Cooper Landing, gdzie do rzeki Kenai uchodzi mniejsza Rzeka Rosyjska. Gdy wczesnym rankiem dotarliśmy na miejsce, ponton

szybko wylądował na wodzie, po czym chwilę później przenieśliśmy do niego cały sprzęt oraz własne bagaże, szczególnie zapakowane w nieprzemakalne torby. Aura nie była zbyt zachęcająca, więc za namową bardziej doświadczonych osób założyłem pod kurtkę grubą polar, zaś na wierzch kamizelkę ratunkową. Następnie na bawełniane spodnie ubrałem kolejne spodnie z nieprzemakalną membraną, a na głowę zimową czapkę. Prawdę mówiąc wkładanie ciepłych rzeczy „na cebulkę” na początku czerwca uznałem za grubą przesadę, ale już niedługo miało się okazać, jak bardzo pomyliłem się w tej ocenie.

W końcu odbiliśmy od brzegu. Za sterami, a właściwie wiosłami usiadł wicedyrektor parku Kenai Douglas Staller, który miał w tej materii chyba największe z nas wszystkich doświadczenie. Początkowo pozwolił, aby nurt swobodnie unosił ponton, od czasu do czasu poprawiając tylko jego odpowiednie ustawienie względem kierunku przepływu wody w rzece. Przez kilkanaście minut płynęliśmy przy stosunkowo spokojnym nurcie lekko tylko podskakując na falach, ale w pewnym momencie przed nami wyrósł potężny kanion. Nie wiadomo skąd w spienionym nurcie pojawiły się

ogromne głazy, koryto rzeki mocno się zwężało, a woda gwałtownie przyspieszyła. Tutaj zaczęła się prawdziwa przygoda, ponieważ dotąd lekko tylko sfalowana tafla wody przybrała postać mocno pofałdowanej powierzchni – tam, gdzie rzeka przelewała się przez potężne głazy tworzyły się swoiste „górkę”, za którymi zaraz znajdowały się głębokie „dolinki” z kotłującą się wodą.

Wysoka adrenalina, przepiękne widoki

Douglas robił co mógł, żeby umiejętnie ominąć najbardziej zdradliwe miejsca i trzeba przyznać, że robił to doskonale, choć i tak kilka razy o mały włos nie grzmotnęliśmy w skały. Ponton właściwie już nie płynął po wodzie, lecz po niej fruwał. Co chwilę wznosiliśmy się wysoko w górę, by zaraz potem ostro zanurkować w dół, uderzając przodem pontonu we wsteczne fale w nurcie. Kilka razy do wnętrza pontonu wdarły się duże fale, oblewając wszystko i wszystkich lodowato zimną wodą, więc już po kwadransie spływu byliśmy cali mokrzy. Woda w rzece była przepiękna, o różnych odcieniach lazuru przechodzącego w błękit. Była też bardzo przejrzysta oraz lodowato zimna. Gdy wychylałem się za burtę pontonu, mogłem rozróżnić kształty oraz kolor niewielkich kamyków leżących na dnie rzeki, choć w tym miejscu miała ona przynajmniej 3–4 m głębokości.

Widoki, jakie nam towarzyszyły w czasie spływu, były niesamowite. Brzegi rzeki Kenai porastał gęsty las iglasty, którego kilka odcieni zieleni odbijało się w jej turkusowych wodach, a ponad koronami drzew oraz wysoko ponad naszymi głowami wznosiły się skaliste, strome zbocza porośnięte skąpą, niską roślinnością tundry. Po drodze widzieliśmy mnóstwo ptaków: mewy, rybitwy, dzikie kaczki, trzecie, różne ptaki śpiewające oraz kilka dorosłych bielików amerykańskich. Widok tych ostatnich był szczególnie interesujący, bowiem orły siedziały na gałęziach drzew zwisających ponad rzeką wypatrując ewentualnej zdobyczy. Gdy przepływaliśmy dosłownie kilkanaście metrów od nich, odniosłem wrażenie, że obserwujące nas z góry drapieżniki nie tylko w ogóle się nas nie bały, ale wręcz jakby zastanawiały się czy nie

zerwać się do lotu i – pikując w dół – przypuścić na nas atak. Jedynej rzeczy, jakiej żałowałem to tego, że w czasie spływu ani razu nie widziałem łososi migrujących w górę rzeki, ale najwyraźniej nie był to jeszcze czas ich wędrówki na tarło.

Pontonem przez górskie jezioro

Po trzech godzinach zmagania się z rzeką Kenai dopłynęliśmy do miejsca, gdzie uchodzi ona do jeziora Skilak. Tam, na szerokim odsypie meandrowym pokrytym drobnym żwirem, urządziliśmy krótki postój na drugie śniadanie oraz rozprostowanie zeszytyw-

niałych i zmarzniętych kończyn. Słońce zaczęło mocniej przygrzewać, więc przy okazji nieco się ogrzaliśmy, jako że po tych kilku godzinach spędzonych nad wodą byliśmy solidnie zziębnięci. Po półgodzinnym odpoczynku wsiedliśmy z powrotem do pontonu, lecz tym razem Douglas złożył wiosła, po czym odpalił silnik zamocowany z tyłu i pomknęliśmy przez środek jeziora.

Przeprawa przez ogromne, górskie jezioro Skilak to była kolejna duża dawka niezapomnianych wrażeń. Z daleka widziałem potężne, ośnieżone szczyty górskie wznoszące się wzdłuż lewego brzegu jeziora, które mnie osobiście bardzo przypominały nasze polskie Tatry. Podnóża zboczy oraz



1. RZKA KENAI – NAJWIĘKSZA I NAJPIĘKNIEJSZA RZKA NA PÓWYSPIE KENAI, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK
2. PRZEDGÓRZE GÓR KENAI W ZBLIŻENIU, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK



brzegi jeziora pokrywał gęsty las iglasty, który – tu i ówdzie – nieco się przedział, zapewne tam gdzie pojawiał się podmokły grunt. Przez cały czas niebo było idealnie błękitne – tak idealnie, że niemal zlewało się ono z turkusowym kolorem wód w jeziorze. Ten dzień był wyjątkowo spokojny, a ponieważ nie czuło się nawet najmniejszych podmuchów wiatru, tafla jeziora była doskonale płaska, bez najmniejszych zmarszczek – mknąc po niej z dużą prędkością miałem wrażenie jakbyśmy się ślizgali po zamrożonym, lazurowym lodzie. Co jakiś czas mijaliśmy nieduże, skaliste wysepki, na których znajdowały się kolonie mew liczące dosłownie tysiące ptaków.

Pomimo braku wiatru zimno było nad jeziorem Skilak jak diabli, jeszcze gorzej niż w czasie spływu rzeką Kenai – zapewne z powodu bliskiej obecności gór, na zboczach których wciąż zalegał śnieg. Nawet kilka warstw ciuchów oraz przeciwwiatrowa kurtka nie uchroniły mnie przed chłodem lodowatego powietrza, które przenikało przez ubranie aż do szpiku kości. Po godzinnej przejażdżce po jeziorze naszym oczom ukazała się na prawym brzegu niewielka przystań, na której czekały dwie białe półciągarówki. Douglas znacznie zmniejszył obroty silnika, po czym skierował ponton ku przystani. Wyprawa miała się ku końcowi.

Moje przygody z niedźwiedziami

Kenai to nie tylko góry i rzeki, to przede wszystkim dzikie zwierzęta, wśród których moją szczególną uwagę

zwracały niedźwiedzie. Co ciekawe, na Płw. Kenai najbardziej rozpowszechnionym drapieżnikiem nie jest wcale wilk alaskański, ale baribal (niedźwiedź czarny), który zamieszkuje ekosystemy leśne. Populacja tego gatunku na całym półwyspie liczy ok. 2–3 tys. osobników przy zagęszczeniu populacyjnym, w którym statystycznie jeden niedźwiedź przypada na każde 4 km² terenu.



ŚWIEŻE TROPY NIEDŹWIEDZIA GRIZZLY ODCIŚNIĘTE W MULISTYM BRZEGU RZECI, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK

Tak więc wędrując po alaskańskich lasach miałem większą szansę spotkania się oko w oko z niedźwiedziem niż z turystą.

Jednak nie to było w tym wszystkim najgorsze. Moje dobre samopoczucie gwałtownie pogarszała świadomość, że przed baribalami nie było ucieczki, ponieważ niedźwiedzie te świetnie wspinają się po drzewach. Co prawda już na samym początku pobytu w Kenai zaopatrzyłem się w podręczną gaśnicę pieprzową, jednak doświadczeni pracownicy parku delikatnie mnie uświadomili, że jeżeli jakiś uparty niedźwiedź zechce mnie bliżej poznać, to i tak, w gruncie rzeczy, nic mi już nie pomoże. Pewnego razu, właściwie z własnej głupoty i lekkomyślności, o mały włos jedno z moich spotkań z niedźwiedziami nie skończyło się dla mnie fatalnie.

Wczesnym świtem wybrałem się do lasu razem z kilkoma ornitologami rejestrować śpiewy alaskańskich ptaków. W trakcie jednego z postojów, gdy oddaliliśmy się kilkadziesiąt metrów od samochodu, żeby odgłosy stygnącego silnika nie przeszkadzały nam

PANORAMA JEZIORA SKILAK, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK



w rozróżnianiu ptasich treli, Elizabeth Jozwiak (Amerykanka polskiego pochodzenia), która jako jedyna patrzyła w stronę lasu znajdującego się za naszymi plecami, nagle znieruchomiała.

– Boys, do not move – rzuciła pod naszym adresem dziwnie ściszoną głosem.

Nie ruszając się z miejsca, powoli odwróciłem głowę w kierunku, w którym patrzyła. Około 15–20 metrów za moimi plecami stał niedźwiedź, który pomimo swojej wielkości niemal bezszelestnie wyszedł z lasu, po czym przykucnął na jego skraju tak samo jak my zaskoczony niespodziewanym spotkaniem. Z doświadczenia wiedziałem, że zaskoczone dzikie zwierzęta często reagują agresją, a my jak na złość zostawiliśmy strzelbę w samochodzie, który stał kilkadziesiąt metrów dalej.

Przez krótką chwilę było bardzo nerwowo – niedźwiedź wyraźnie mierzył nas badawczym wzrokiem, a my w pośpiechu ocenialiśmy szansę ucieczki na wypadek szarży zwierzęcia. Widocznie jednak baribal albo się nami w ogóle nie przejął, albo miał ważniejsze sprawy na głowie, gdyż spokojnie przeszedł na drugą stronę drogi, od czasu do czasu rzucając tylko na nas uważne spojrzenie. Żałowałem, że zostawiłem aparat fotograficzny w samochodzie, gdyż lepsze ujęcie trudno byłoby sobie wymarzyć.

Widok grizzly na wolności – bezcenny

Innym razem, wracając samochodem znad Zatoki Kachemak, na prostym odcinku szosy wyszła z lasu niedźwiedzica grizzly z dwójką swoich dzieci. Jak gdyby nigdy nic weszła na drogę, zatrzymała się kilkanaście metrów przed moim samochodem, po czym odwróciła się, dając znać dwóm małym niedźwiadkom, które czekały posłusznie na skraju lasu. Niemal jak na komendę nieco zdezorientowane maluchy posłusznie podreptały za swoją mamą, w ogóle nie przejmując się tym, że wstrzymały ruch na drodze. Gdy niedźwiadki były już bezpieczne w lesie po drugiej stronie szosy, niedźwiedzica ponownie się zatrzymała i bacznie przyjrzała najbliższemu otoczeniu. Jestem przekonany o tym, że gdyby ktokolwiek z kierowców próbował w tamtym momencie wyjść z samochodu, np. po to żeby zrobić zdję-

cia, mogłoby się to dla niego bardzo źle skończyć.

Przez kilkanaście sekund udało mi się utrzymać kontakt wzrokowy z niedźwiedzicą – widziałem w jej oczach inteligencję, która pozwoliła dobrze ocenić całą sytuację, matczyne lęk o bezpieczeństwo swoich dzieci, a także gotowość do agresji i działania, na wypadek gdyby było to konieczne. Przez ten krótki moment kiedy poprzez wzrok nasze umysły skontaktowały się ze sobą, wcale nie czułem, że mam do czynienia ze zwierzęciem – wydawałoby się prymitywną istotą, która w swoim życiu kieruje się tylko i wyłącznie instynktami. Może trudno w to uwierzyć, ale odniosłem wrażenie, jakbym patrzył w oblicze istoty nie tylko myślącej podobnie jak człowiek,

nocnego Pacyfiku są pływy oceaniczne. Skok pływów, czyli różnica w poziomie wody pomiędzy przyplływem a odpływem, sięga na południu Alaski nawet 7–8 metrów. Chcąc zobaczyć wybrzeże oceanu w trakcie efektownego odpływu wybrałem się pewnego dnia nad Zatokę Kasilof, położoną zaledwie kilka kilometrów na zachód od miasteczka Soldotna. Gdy zszedłem na plażę i rzuciłem okiem na zatokę, odniosłem wrażenie, że wody Pacyfiku odsunęły się od lądu minimum 200–300 metrów, a lustro wody opadło przynajmniej o 5 metrów.

Odsłonięta zatoka zrobiła na mnie wrażenie surowego i ubogiego w życie środowiska – zamiast miękkiego, żółtego piasku jaki możemy spotkać nad polskim Bałtykiem, cały tutejszy brzeg



INSTALACJA SZYBU W ZBLIŻENIU, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK

ale również czującej i odbierającej ten świat podobnie jak my. Problem w tym, że natura nałożyła na to zwierzę tak sztywny gorset instynktownych zachowań i reakcji, że ukryta wewnątrz myśląca istota nigdy nie będzie miała możliwości rozwinięcia swoich mentalnych skrzydeł i do końca życia pozostanie tym kim jest.

Zatoka Kasilof i amerykańska komercja

Ciekawym zjawiskiem, jakiego można doświadczyć na wybrzeżu pół-

pokryty był szarym i szorstkim w dotyku drobnym żwirem, który pochodził z rozdrobnionych przez erozję skał wulkanicznych. W osadach dennych, które zostały odsłonięte w czasie odpływu, nie dostrzegłem żadnych wodorostów, morskich żyłatek czy choćby kawałka muszli. Dość szybko okazało się też, że plaża – ze względu na bliskie sąsiedztwo Soldotny – traktowana jest przez miejscową ludność jako miejsce połowów łososi pacyficznych, gromadzących się w zatoce tuż przed wpłynięciem do pobliskich rzek Kenai i Kasilof. Z tego powodu wzdłuż plaży,



NA PÓŁWYSPIE KENAI WYŻEJ POŁOŻONE PARTIE GÓR POKRYTE SĄ ŚNIEGIEM NAWET LATEM, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK

tak mniej więcej co 50 metrów, prowadziły do wody grube sznury ułożone prostopadłe do linii brzegowej oraz na stałe przymocowane do ziemi.

Sznury te ciągnęły się w głąb zatoki aż na odległość 50–100 metrów i tam drugi ich koniec był przywiązany do drewnianego palika wbitego w dno zatoki. Wzdłuż tych sznurów zawieszano rybackie sieci i gdy nadchodził przypływ samoczynnie wpadały do nich łososie płynące w pobliżu brzegów zatoki. Tego typu wykorzystywanie naturalnych zasobów przyrodniczych dozwolone jest na Alasce tylko w przypadku jej stałych mieszkańców oraz w bardzo ograniczonym zakresie, tzn. miejscowa

ludność może tak łowić nie dłużej niż przez tydzień i to wyłącznie w okresie sezonu połowowego, ogłaszanego wcześniej przez lokalne władze. Domo-rośłych „rybaków” ograniczają ponadto odgórnie określone limity połowów wynoszące ok. 10–20 ryb rocznie na jednego członka rodziny.

Gdy tak spacerowałem wzdłuż plaży dostrzegłem widoczny aż po horyzont cały szpaler tych kolorowych sznurów. W dodatku wszędzie było pełno odbitych w szarym żwirze śladów opon półciężarówek oraz quadów, którymi okoliczni mieszkańcy nagminnie jeździli po plaży. Takie widoki oraz konieczność uważania na przejeżdżające

w pobliżu pojazdy skutecznie zniechęciły mnie do dłuższego spaceru czy też podziwiania okolicznych krajobrazów. Czułem się jakbym wędrował po prowincjonalnym porcie, gdzie wszystko podporządkowane było ekonomicznej eksploatacji zasobów naturalnych morza. Tego dnia czar dzikiej, alaskańskiej przyrody niespodziewanie gdzieś przysł, a jego miejsce zajął tandetny poblask skomercjalizowanej, amerykańskiej cywilizacji.

Pola naftowe w Kenai

Z Półwyspem Kenai związane jest bardzo ważne wydarzenie, które w sposób istotny wpłynęło na współczesną historię Alaski. Mianowicie 19 lipca 1957 r. odkryto w Kenai pierwsze na Alasce złoża ropy naftowej, co przyspieszyło uznanie jej jako pięćdziesiątego stanu USA. Od tego momentu rozpoczęła się intensywna eksploatacja jej zasobów naturalnych, która już w znacznie mniejszym stopniu trwa do dzisiaj w postaci działających tu dwóch, niewielkich pól naftowych (52 km² powierzchni), położonych nad rzeką Swanson oraz Bobrowym Potokiem (z ang. Beaver Creek). Łącznie na obydwu polach naftowych istnieje 200 odwiertów, ale tylko 18 z nich wciąż działa wydobywając w ciągu jednego dnia 500 baryłek ropy naftowej (1 ba-

BOREALNY LAS IGLASTY TO ULUBIONY TEREN ŁOWIECKI NIEDŹWIEDZI CZARNYCH, FOT. SEBASTIAN R. BIELAK



ryłka = 159 litrów) oraz 370 m³ gazu ziemnego. To niewiele w porównaniu z tym, co działo się tutaj pod koniec lat 60. XX w., kiedy to dzienne wydobycie wynosiło 38 tys. baryłek ropy naftowej oraz 1700 m³ gazu ziemnego.

Zaciekawiony tym tematem wybrałem się pewnego razu na obchód tych pól oraz kontrolę działających tam instalacji wydobywczo-przesyłowych, oczywiście w towarzystwie kompetentnego i uprawnionego do tego pracownika parku Kenai. Z okna samochodu cały ten teren zrobił na mnie ponure wrażenie. Wszędzie stały blaszane budynki lub baraki, pokaźne cysterny oraz inne stalowe zbiorniki, w których magazynowano ropę naftową. Wzdłuż szutrowych dróg ciągnęły się kilometrami rurociągi przesyłowe. Niektóre zbiorniki były w fatalnym stanie technicznym – skorodowane i pokrzywione jakby zaraz miały się zawalić. Kilka razy zatrzymaliśmy się przy szybach naftowych, gdzie nadal pompuje się ropę naftową wprost z podziemnego złoża, po czym przesyła dalej rurociągami biegnącymi na powierzchni ziemi. W pobliżu szybów czuć było w powietrzu intensywny zapach ropy, którą ponadto zachłapana była cała ziemia w promieniu kilku metrów od urządzeń wydobywczych. Przez chwilę zacząłem się zastanawiać, czy nadal jestem na Alasce, czy może w jakiś dziwny sposób zostałem teleportowany na pola naftowe Texasu lub Oklahomy.

Biznes w środku parku

Zastanawiałem się jak to jest możliwe, że w granicach przyrodniczego

obszaru chronionego prowadzona jest działalność wydobywcza? Przecież taka sytuacja jest sprzeczna z ideą ochrony przyrody i środowiska naturalnego. Okazało się, że na Alasce jest to możliwe, ponieważ państwo posiada prawa do kopalin i złóż znajdujących się pod ziemią. Przepisy prawne w Stanach Zjednoczonych są tak skonstruowane, że nie wystarczy posiadać aktu własności danego terenu – trzeba jeszcze wykupić prawa do tego, co znajduje się pod ziemią. Co ciekawe najwięcej kłopotów w egzekwowaniu prośrodkowych zmian na obszarach pól naftowych wynikało z braku ciągłości w zarządzaniu tymi terenami przez kolejne kompanie naftowe. W przeciągu ostatnich 50 lat właściciele pól naftowych zmieniali się już cztery razy i za każdym razem, gdy pojawiał się nowy zarządca, dyrekcja parku Kenai słyszała te same wymówki, najczęściej w stylu: „To nie nasza wina, że środowisko jest tutaj tak zanieczyszczone, my taki stan rzeczy po prostu zastaliśmy”.

Efekt końcowy jest taki, że obecnie – za każdym razem gdy np. remontowana jest droga albo robiony jest podkop pod jakiś nowy obiekt – koparki co rusz wydobywają z ziemi stare, przedziewiałe beczki po ropie naftowej, fragmenty stalowych konstrukcji, rury i złom albo nawet docierają do warstw gruntu zanieczyszczonego resztkami ropy naftowej. Jeszcze w latach 70. XX w. w wielu miejscach parku można było zobaczyć doły wypełnione mieszaniną wód gruntowych, wód opadowych oraz ropy naftowej, w której to mazi pływały porzucone beczki oraz leżał zatopiony złom. Prawdziwa bomba ekologiczna. Obecnie nie ma już

takich widoków, a kompanie naftowe muszą dostosować swoją działalność do wymogów i zaleceń wydawanych przez park. Na szczęście.

Pod koniec zwiedzania pól naftowych odwiedziliśmy obiekt historyczny, tj. miejsce, gdzie w 1957 r. po raz pierwszy na Alasce odkryto ropę naftową. Obecnie nie prowadzi się tam już wydobycia, ale w miejscu, gdzie dokonano w ziemi pierwsze roponośnego odwiertu, stoi teraz zakonserwowana, stalowa głównia wieńcząca nieczynny już szyb wydobywczy, wraz z wyrutą na niej tablicą pamiątkową. Swoistym paradoksem jest fakt, że chociaż na Alasce jest dużo miejsc, w których wydobywa się ropę naftową, zdecydowana większość tutejszych samochodów posiada silniki benzynowe, a nie ekonomiczne silniki Diesla. Dzieje się tak dlatego, iż ropa naftowa jest na Alasce droższa od benzyny. Wydaje się to dosyć dziwne, ponieważ benzyna jest wytwarzana z ropy, a więc koszty jej produkcji powinny być większe niż koszty pozyskania samego surowca. W czasie mojego pobytu na Półwyspie Kenai benzyna kosztowała od 2,90 do 3,00 \$ za galon (1 galon = 3,8 litra), a więc mniej więcej 2,20 złotych za litr. I pomyśleć, że Amerykanie narzekają, że benzyna im zdrożała, skoro i tak mają ją 2–3 razy tańszą niż Polacy, których zarobki są przecież wielokrotnie niższe.

Więcej informacji na temat wyprawy na Alaskę można znaleźć na stronie internetowej Autora: www.sebastianbielak.pl oraz w jego najnowszej książce pt. „Parki narodowe i rezerwy Alaski”

GÓRY KENAI. NAJWYŻSZYM SZCZYTEM TEGO PASMA JEST TRUULI PEAK, KTÓRY SIĘGA 2013 M N.P.M., FOT. SEBASTIAN R. BIELAK

